

Oto treść e-maila, który wysłałem wraz z dopiętym (patrz dalej) plikiem, na następujące adresy:

'Tytus&Jola&Filip/2c Jakubowski-Drzewiecki (tytus1@op.pl)'; 'tytusjakubowski@poczta.onet.pl'; 'behr@math.niu.edu'; 'tomek@math.boisestate.edu'; 'kciesiel@wvu.edu'; 'sttjacek@warsaw.med.buffalo.edu'; 'Tomasz.Gawron@fuw.edu.pl'; 'kania@math.boisestate.edu'; 'tentom@tlen.pl'; 'wyszomir@bot.uw.edu.pl'; 'willow\_wierzbwlosa@tlen.pl'; 'Piotr.Breitkopf@codiciel.fr'; 'Przemek.Sobol@odl.Com.Pl'  
Czółko!

Przesyłam Wam mój tekścik, który właśnie co popeliłem na zamówienie mej 17-letniej bratanicy Martyny ([willow\\_wierzbwlosa@tlen.pl](mailto:willow_wierzbwlosa@tlen.pl)), podejmującej się dla grona swych kolegów zbierania podobnych tekstów (o bractwie z Gottwalda) dla kroniki szkolnej obecnego Liceum Staszica. Przypuszczam, że moja pisanina okaże się w sumie dla niej nieprzydatna (długie, przegadane i bez sensu), ale może ktoś z Was, Drodzy Koledzy, zrobi to lepiej i komuś sprawi tym radość. Tym bardziej, że – jak się wydaje – w wielu dostępnych tekstach o naszej budzie jest sporo błędów (przykładowo – pewne informacje są w „podzbiorach”, a nie ma ich w głównym zestawieniu), a co nieco wartołoby nie zapomnieć. Głównie liczę na kumpli, z którymi mam jakiś kontakt i dziś: na Tytusa, Piotra Breitkopfa, Przemka Sobola (spotkałem na jubileuszowym turnieju), a także o kilka(naście) lat młodszego kolegi z roku Logiki na ATK: Jana Grzegorza Brochockiego (nie używa elektroniki, chrzaniony etnograf). Resztę mailowych danych wziętem z strony klasowej na WWW Staszica, a dokładniej ze zbioru gromadzonego przez E. Behra ([behr@math.niu.edu](mailto:behr@math.niu.edu); <http://www.math.niu.edu/~behr/Polish/Gottwald/>). Jeśli będzie taka wasza wola, to moje wy-pociny przekażecie innym zainteresowanym.

Pozdrawiam, dawnych i obecnych Przyjaciół

Grzegorz Szulc, tel. stacjonarny +48228421670 i mobilny +48501550349

## **My, XIV LO: Po 30 latach i nie tylko**

### **Talia z nazwiskami czyli wspomnienia Gie—mundurka**

Skąd pomysł, aby napisać do kroniki Szkoły Staszica? Takiej „budy” nie kończyłem, a choć stołeczne XIV LO im. K. Gottwalda, którego jestem absolwentem z lat 1972–1976, przybrało sobie 16 lat temu nowe miano – Tego polskiego i wielce szacownego patrona – to nawet nie należę do Stowarzyszenia sztasziczowych absolwentów.

Jestem natomiast członkiem Towarzystwa Wychowawców Szkół Górskiego, do których to Szkół nigdy nie chadzałem (w Gimnazjum Górskiego była matka). Ale co mają dziś robić ludzie mi podobni, gdy kręgi naszych przyjaciół nie istnieją pod własną „flagą”, bo nawet po co?

Podstawówka nr 219 w Warszawie, z której wyszedłem, nosiła wówczas imię Wandy Wasilewskiej; dziś (przy Smolnej) nie ma takiej szkoły. Nic dziwnego, gdyż Wasilewska (powinowata, bo ma prababcia Katarzyna Stanisławowa Strójwāsowa była z Wasilewskich), choć z szacownych mieszczan stolicy, „zasłużyła” się komunizmem u samego batiuszki Stalina, powołując satelity Międzynarodówki, w tym dla PRL: Zw. „patriotów” i LWP (armię). Kto to był Gottwald, patron XIV LO, to też wiadomo: internacjonalny komuch z Czech, były szef Międzynarodówki. Również uczelnia, którą ostatecznie (po latach „brydżowych” studiów na Politechnice i w salach UW) ukończyłem (logikę na filozofii): Akademii Teologii Katolickiej w W—wie, w nowych czasach źle się kojarzyła — „ojcem chrzestnym” była безпеaka, gdy u progu PRL rozgoniła istniejące setki lat fakultety teologii. Działający dziś Uniwersytet Katolicki im. Stefana kardynała Wyszyńskiego nie nawiązuje za bardzo do ATK.

### **Nowowiejski Gottwald**

Jaki mam dziś powód, by mówić o swej budzie przy Nowowiejskiej 37 a, oprócz tego, że mija 30 lat od mej tam matury? To pewnie, że Liceum nareszcie zorganizowało jubileuszowy turniej brydżowy, w którym moja bratanica ze Staszica Martyna, mnie (a mały włos i innych repów: Zdzicha /Krzyśka/ Karczewskiego, Przemka Sobola, Marka Osieckiego) ograła —startowałem z jej ojcem— a właśnie z łamigłówkami przy zielonym stoliku kojarzy mi się ten gmach, nie z jakimiś balami, które w ostatnie lata organizowało Stowarzyszenie

Absolwentów. Jestem dziś przy tym szefem Fundacji Rozwoju Rynku i Własności im. Stanisława Małachowskiego i Piotra Drzewieckiego; drugi z patronów był głównym inicjatorem Szkoły Realnej Staszica na początku XX wieku. Dodam tu, że dziwię się, że na stronie Liceum podkreśla się dziś tylko jedną funkcję inż. Drzewieckiego: że po tym, jak nominalny w 1917 r. prezydent Warszawy (jak pamiętam Książę Lubomirski) wszedł do Rady Regencyjnej (założku przyszłej RP), to ten człowiek techniki i gospodarki został pierwszym szefem stolicy w wolnej po 126 latach Polsce. Z mego punktu widzenia równie ważne jest to, że w II RP Drzewiecki stworzył Lewiatana — Związek Polskiego Przemysłu i Handlu, potężną organizację przedsiębiorców, pracodawców. Utworzył ją wraz z Andrzejem Wierzbickim, dziadkiem znanego dziś Piotra Wierzbickiego, melomana i do niedawna redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”, a wcześniej (1991/1992) „Nowego Świata — pisma codziennego dla wszystkich sfer”, mej pierwszej redakcji dziennika, w której pracowałem.

Pierwszym kontaktem z XIV LO było spotkanie (zima 1971 r.?) dla uczniów podstawówek ze Zbigniewem Szurigiem, o którym wiedziałem, że to czołowy nasz mistrz brydżowy. A że wtedy przeczytałem w popularnej serii  $\Omega$  broszurę Nagla i Newmana „Twierdzenie Gödla” (zachwyty!), to wybór mógł być tylko jeden ... Namówiłem trzech kolegów ze szkolnej ławy, od tenisa i najbliższych kumpli, z nadzieją, że będzie brydżowy stolik; niestety jeden zdezerterował i zdawał do Dąbrowskiego (a Fe!), zostali Tytus Jakubowski—Drzewiecki (przyjaźnimy się do dziś od 1967 r.) i Andrzej Smolarski (zginął przez piorun w 1980 r. w Tatrach). Gottwald miał tę zaletę, że żaden konkurs świadectw i partyjne układy nie miały (w zasadzie) znaczenia, bo decydowały dwa egzaminy, dla wybrania najlepszych z kilkudziesięciu startujących na jedno miejsce. Dlaczego dwa sprawdziany? Bo najpierw zdawało się normalny egzamin do liceum (z polskim i czymś tam jeszcze z matmą), a potem drugi, z prawdziwszej matematyki, bo chodziło o specjalne klasy uniwersyteckie. Ponadto nie były ważne zakazy różnych szkolnych urzędasów, którzy zwykle piętrzyli przeszkody przed

swobodnym wyborem szkoły w czasach (przypomnę) wyżu demograficznego, kiedy to połowa rocznika bez dyskusji trafiała do różnych zapyziałych zawodówek lub przyciasnych techników. Mnie spece z kuratorium namawiali do humanistyki, którą się wtedy też interesowałem, pod wpływem m.in. historyka z podstawówki, AK—owca, któremu udawało się nawet przemycić uczniom prawdę o Katyniu (a za to, za same słowa, groził wyrok kilku lat).

Nawiasem mówiąc, nie rozumiem nic z dzisiejszych bojów: nowa/stara matura. Kiedyś to chodziło o to, aby dobrze zdać ciężki egzamin (w pokoleniu mej matki matura to było minimum 18 przedmiotów, m.in. greka, łacina, filozofia, historia powszechna oraz kościoła i idei, itd.), a dziś urzędnicy MEN zastanawiają się: po co licealistom „rachunki”? Myślę, że umiejętność logicznego myślenia (bo tym matematyka) jest potrzebna nie mniej, niż znajomość różnych „ogonków”, czy też wypocin Szczypiorskiego lub innego z grona literatów, których podstawową kwalifikacją było to, że niegdyś wydali UB choć jednego ze swych kolegów. A co do egzaminów obecnej doby, to do końca życia nie zapomnę już tego, jak o rodzaje rymów u Kochanowskiego pytał mnie na egzaminie wstępnym na uniwersytecką filozofię prof. Klemens Szaniawski; trzeba wiedzieć (oprócz tego, że czołowy opozycjonista stowarzyszeń twórczych za PRL, to), że wiodący spec od metod formalnych w humanistyce. Dotąd nie wiem: po co przyszłym specom od dobrego myślenia wiedza o rytmie mowy w Czarnolesie? A co więcej przypuszczam, że wedle kryteriów współczesnej „reformy edukacji”, to bym nie tylko nie dostał się na żadną uczelnię (a w rzeczywistości byłem na 3 i niemal na 5 wydziałach, dając sobie radę na egzaminach), ale nawet do liceum-gimnazjum-podstawówki-freblówki-żłobka — niepotrzebne skreślić. Zresztą, może to jednak racja, bo w toku mej edukacji przekonałem się (najszybciej w LO), że do żadnej ze szkół, do których uczęszczałem, tak do końca, to nie pasuję.

## Trochę nazwisk ważnych osób

Ustny egzamin zdawałem u innej, znanej szkolnej postaci — Romana Janusza; nauczał geometrii. Pamiętam jak dziś, że długo dyskutowaliśmy o konsekwencjach starożytnej tezy znanej pod mianem Ośli Most (że naprzeciw największego kąta w trójkącie leży najdłuższy bok).

Pierwsze oficjalne zajęcia w szkole też miałem z Januszem; przestrzegł wówczas, że wcześniej w swych kręgach mogliśmy błyszczeć najmocniej, ale teraz będziemy mieli wokół samych mądralińskich mądrali. Sprawdziło się, bo zawsze ekscentryków było w naszym gronie więcej niż ktokolwiek był w stanie sobie wyobrazić. Sam prof. Janusz był postacią nietuzinkową i lubianą. Złą ocenę można było u niego zrekompensować szachową wygraną; zawsze znajdowali się optymiści, którzy próbowali, choć udawało się nielicznym, ale nadzieja rzecz dobra. Powiadano, że otrzymywał masę korespondencji, zaadresowanej: *Mrs. Janusz, Milanovek, Poland*; dochodziła bez problemu.

Następna lekcja i nowe zdumienie. Przyszedł srogi brodacz w okularkach, który twierdził, że będzie nas szkolił w Przysposobieniu Obronnym, choć w planie były zupełnie inne zajęcia. Zanim sprawa się wyjaśniła, to zdążył postawić ze 20 „bomb” na 28 osób w klasie. Potem nigdy nie miał z nami zajęć; nazywaliśmy go Rumcajs (Tadeusz Karpisz?). Spotykałem go na wszystkich znaczących koncertach jazzowych, po latach już w bardzo złej kondycji fizycznej i bez jednej nogi, stale na rauszu, ale do dziś ciepło myślę o tym prześmiewcy wojska i nudy wymuszanej specyfiką tamtych lat.

Dalej to była fizyka ze Zwolińskim (Markiem). Zaskoczył wszystkich, gdy nakazał wyrzucić do kosza obowiązujący wtedy w LO podręcznik (miał w 100% rację!), zastąpić ewentualnie

„Feymanna wykładami z fizyki” (książką wciągającą, ale z którą kłopoty mieli i laureaci Nobla) albo podręcznikiem (akademickim) Resnicka. Kazał nam w tydzień nauczyć się rachunku różniczkowego i całkowego, bo bez niego „to nie ma fizyki”. Kiedyś Zwoliński wykpił skutecznie kult wzorków i równań, gdy sprezentował nam zbiorek liczb i namawiał do wykrycia wedle jakiej zasady zostały dobrane. Byli tacy (Darek Jastrzębski?), co znaleźli i wzór, i dalsze liczby z ciągu, choć — okazało się — autor żartu podał nam ... numery tramwajów z linii przez plac Narutowicza.

I tak to się zaczęło, często na poważnie, ale czasem wśród żartów. Przedmioty zyskiwały rangę czasem z nieoczekiwanych powodów. Przykładem popularność tzw. cemplówek, od nazwiska szefa zajęć prakt./techn. (Antoni Cempel). Łatwo na nich było urwać się na brydżyka lub grać po kryjomu. Ale to na tych właśnie zajęciach doszło potem do jednego głośniejszych happeningów, gdy znudzony Maciek Panufnik osznurował „więziennie” portrety wodzów (także Trzech Brodaczy: Marksa, Engelsa i Lenina) szykowane na pochód 1—Majowy. Dyrektorka Irena Krawczyk nie omieszkała sprowadzić UB i Maciek, który w nagrodę za efektowny start w olimpiadzie PO miał jechać Pociągiem Przyjaźni z wycieczką do ZSRR, nie tylko pożegnał się z tam biletem, ale musiał zwiewać do Liceum Batorego. Wkrótce potem odwiedziliśmy go (w kilku kumpli) tam na Rozbrat; widoczna była dla nas różnica: jakieś grzeczne dzieciaki chodziły w ciszy po szerokich korytarzach, nudne to wszystko i dostojne. Ale Maćka wypaczyli w Batorym — oceniłem po 1989 r. kolegę, z którym przez niemal dwa lata siedziałem w jednej ławce. Stało się tak, gdy przeczytałem wówczas jakieś listy otwarte, firmowane przez prof. Skargę i (wśród wielu) przez Maćka. Intelktualiści przestrzegali wówczas Polaków przed władzą „czarnych”, jako straszliwym zagrożeniem wprost cywilizacyjnym. Ja natomiast żałowałem wówczas, że po ponownym (jak w 1918 r.) odzyskaniu przez Polskę niepodległości nie skorzystaliśmy z mądrości antenatów, którzy wówczas — pamiętając o rodzimej tradycji *interrex 'a* — w wolność dali się wprowadzić

przez (wspomnianą przeze mnie wcześniej) Radę Regencyjną z kardynałem Kakowskim na czele. Szkoda, że zamiast bawić się w różne małpowanie wynalazków komuchów z Sorbony nie zarządzono jak trzeba likwidację okupacyjnych praw (powrót do Konstytucji Kwietniowej) i władz, przekazując przejściowo pieczę nad państwem Prymasowi i rządowi londyńskiemu na uchodźctwie.

Tu doszedłem do tematu: polityka w LO. Jak pamiętam temat istniał wtedy jedynie podskórnie, gdy szeptano, że w poprzednich rocznikach szkolne koło ZMS (*socjal—jugend* przy PZPR) założyło Kółko Raczkujących Reakcjonistów i Krawczykowi rozgoniła towarzystwo. Szefem ZMS był w moim roczniku Marek Rudziński, kolega z klasy (w ostatnich 2 latach, III, IV F). Szczerze chyba wówczas wierzył w różne pomysły VI i następnych zjazdów kom—partii, ale był pomimo wszystko lubiany (żartowano dobrotliwie z jego „zacerwienienia”), może również dlatego, że grał w brydża, choć niewybitnie. Natomiast na jednego z opozycjonistów wyrastał Marek Borkowski, choć chciał tylko o wszystkim dyskutować, spierać się. Notorycznie ciągnany był jednak do dyr. Krawczykowej, która przez pewien czas tolerowała jego młodocianą niezależność, z uwagi — jak mówiono — na to, że jako jedyny w klasie (I, II, F) miał „w papierach” słuszne, bo robotnicze, pochodzenie społeczne. A tak naprawdę, to matka Marka była chyba sprzedawczynią w domach Centrum, zaś ojciec podobno kelnerem, więc z tą socjalistyczną prawomyślnością to był bajer, typowy dla zakłamania PRL. Borkowski po pewnym czasie jakoby wybrał zajęcie operatora filmów od życia ptaków, czym zaskoczył nas trochę, bo za fanatycznych obserwatorów życia przyrody uchodzili „Kaczor” (Tomek) Wyszomirski i „Szeryf” (Andrzej) Haman.

Polityka pojawiła się chyba w rocznikach młodszych od nas o co najmniej 2 lata. Po pewnym czasie wyróżnił się w tej dziedzinie Piotrek Szwajcer, mój ówczesny (po m.in. Michale

Kielim z równoległej klasy) partner z drużyny brydżowej. Wielu kolegów towarzyszyło mu na wódeczkach u osławionych opozycjonistów (zwłaszcza po Wypadkach w Radomiu 1976 r.) — pisarza Jerzego Andrzejewskiego i dysydenta Jacka Kuronia (ten ostatni w mej rodzinie był znany jako ten *czzerwony*, który zniszczył w Polsce polskie, normalne harcerstwo). Oczywiście nie chodziło tylko o trunki, ale rzecz była w „bibule”, która zaczęła się masowo pojawiać, wraz z KOR i Wydawnictwem NOWA. Piotrek jest do dziś chyba wydawcą, a mnie po z nim znajomości pozostał zachwyty *Małą Apokalipsą* Tadeusza Konwickiego, niechęć do wypocin Wojdy (*Rozmowa z ojcem*) i innych ciemnych person z PRL, sentyment zaś do piosenek Kelusa i Jacka Kleyffa, choć przecież słucham od zawsze (czym „zaraził” mnie Tytus) i na co dzień wyłącznie jazz—u, a Salon Niezależnych kojarzył mi się raczej z tekstami w „Jazz—ie” z lat 70. Pozostała też pamięć, że UB po 13 grudnia 1981 r. Piotrka szybko przymknęło, a my z Piotrkim Wigierem (rówieśnik z równoległej klasy, partner na turniejach brydżowych; miał on chyba kłopoty z prochami) nie mogliśmy nigdzie znaleźć chętnych do roberka, gdy w dodatku niemal ukrywać się musiał znany teoretyk brydżowy Łukasz Sławiński za opublikowanie właśnie co w samizdacie publikacji *Jak zdobyć i utrzymać władzę w Związku Brydżowym*, która to analiza musiała się nieodmiennie kojarzyć z generałem Jaruzelskim. Graliśmy wtedy systemami bezpasowymi, co w brydżu miało rewolucyjny wydźwięk.

Z oficjalnej historii szkoły mało widać dziś specyfikę tamtych czasów i mojej klasy F. Choćby taki szczegół (oprócz tego, że z każdym rokiem — w efekcie mieszania Krawczykowej — byliśmy w innym składzie), że jako jedyni klasowo byliśmy oficjalnie multi—językowi. Nie było jeszcze wtedy aż takiej, jak obecnie, supremacji angielszczyzny i na lektoraty rozchodziliśmy się także na francuski, niemiecki, a incydentalnie (i dla chętnych) na hiszpański, łacinę, oprócz rzecz jasna bezwyjątkowego rosyjskiego. My, chodzący na francuski, najbardziej anglistom zazdrościliśmy ślicznej dziewczyny, która ich uczyła (nie znam personaliów), ale nam też się trafiła w końcu (po kilku zmianach i miesiącach braku

Francuzicy) sympatyczna istota, choć wcale nie anielica (ciut straszyla grubasnymi goglami). Nie pamietam juz, czy na nazwisko miala Utzih, czy jakoś inaczej (nazywalismy ja —z zapomnianych powodów, może szkieł —„Ryba”) , ale wiem, że choć dziś nie znam prawidłowo żadnego języka (z polskim włącznie), to nigdy na egzaminach (zwłaszcza wstepnych na uczelnie, a zdawalem je skutecznie, jak mowilem, 5 razy w latach 1976—1984) nie mialem z francuskim klopotów (chyba, że próbujac się jakoś porozumiec z zywym osobnikiem albo niemarkowanym tekstem), choć odsiew był zawsze wysoki (np. na MEL na PW 50%, to znaczy, że zdałem ja, zaś drugi ze zdajacych na wypełnionej auli to juz nie).

Lektorat „Ryby” kojarzy mi się z przyjazną uczniom (choć twórczą) atmosferą i z czytaniem woryginale *Malego księcia*. Marek Borkowski proponował, aby isc „za ciosem” i zapoznac się ze wszystkim tomami dzieła trudnego do przeczytania nawet w tłumaczeniu (poczatki Boy’a Żeleńskiego): *W poszukiwaniu czasu utraconego* Marcelego Prousta (po francusku idzie to: *A la recherche du temps perdu*) ... Istnieje teoria, że dopiero odrzucenie tej propozycji ostatecznie zniechęcilo Marka do nauki w naszym liceum, choć — chodzily sluchy — że zastanawial się nad przeniesieniem się na angielski, ale pod warunkiem, że czytac się tam będzie wszystkie części *Kwartetu Aleksandryjskiego*, którego w naszej klasie nikt i w przekładzie nie czytał; ja z Prousta poznałem (po polsku) chyba z 4—y tomy, z 8, czy 9 calosci, za co Markowi jestem wdzieczny.

Co do zycia kulturalnego, to wiaze się z nim wazne odkrycie, które musi poczynic kazdy mlody czlowiek. To mianowicie, że pewna wspólnota przezywania i doświadczeń nie wyklucza powaznych różnic w myśleniu (nie tylko gdy spór o politykę). Tak więc, choć w czasach szkolnych i później przezywalismy razem różne wydarzenia, jak na przykład filmy Wajdy (*Wesele, Piłat i inni, Danton, Czlowiek z marmuru*), koncerty (Jazz—Remont choć raz w tygodniu! A w niedziele tam brydzowy turniej na maksy), sztuki (*Ślub, czy Operetka*

Gombrowicza), książki, to z czasem ujawniały się nieoczekiwane odmienności. Tak na przykład Andrzej Smolarski zaczął nagle namawiać koleżeństwo do ambitnego kina radzieckiego, choć wiedział, że to „obciach” zachwycać się twórczością synów twórcy hymnu państwowego ZSRR (co z tego, że arystokaty ze starego rodu Rosji), przyrodnych braci: Nikity Michalkowa (dziś reżyser ten jest głównym sojusznikiem Putina w pomyśle na mocarstwową Rosję) i Andrieja Konczakowskiego (tego od *Uciekającego pociągu* w USA). Ja dałem się mu przekonać do *Andrieja Rublowa* Tarkowskiego, które to dzieło wkrótce obejrzałem 9 razy (choć żadnego innego już filmu, oprócz powtórek w telewizji, już nigdy w życiu nie zobaczyłem powielokroć), przy czym dopiero za 3 razem konotując, że jest to obraz czarno—biały z wyjątkiem końcowej sekwencji z ikonami.

Z „obrazków” w kulturze wspominam też z uśmiechem Andrzeja Ronisza, który miesiącami podczas lekcji czytał sobie dzieła wszystkie hrabiego Fredry. Pasja ta była niełatwa do kultywowania od momentu, gdy w starszych od nas klasach nauczyciele nakryli frantów, którzy non stop grali w brydża (czy w ogóle w karty) z pomocą sprytnie spreparowanych zapalek, a może patyczków (jedno nacięcie to as, dwa to król, ..., coś w tym guście), nie przejmując się oficjalnym programem zajęć.

### **Na zakończenie o władzy**

Szybko przekonałem się w XIV LO, że matematyk ze mnie będzie żaden. Sytuacja nie była wcale wyjątkowa, gdyż wielu szło do Gottwalda chcąc uczyć się w jakiejś prawdziwej, elitarnej szkole, w nosie — w gruncie rzeczy — mając przedmioty ścisłe, czy urzędowe pomysły pedagogicznego ciała. I, jak zauważył to z naszego grona najszybciej Borkowski, pozwalając, aby partyjne (w decydującej niestety o atmosferze całości, części) grono nauczycielskie w dużym stopniu zerowało na ambicjach uczniów, faktycznie słabo ich

życiowo (czy edukacją) wspierając. To za naszych roczników zaczęło słabnąć uczestnictwo w olimpiadach przedmiotowych i aktywność ogólna; szczyty były chyba dwa—trzy lata przed nami, za jednostek takich (nauką i w brydżu głowy) jak Kossuth, czy Piotrek Mormul. Zaczęło wychodzić drugie dno szkoły, gdy np. okazywało się, że beznadziejny jest poziom chemii. Nie można wszystkiego zwać na debilne (jeszcze gorsze niż z fizyki i matmy) ówczesne podręczniki z przedmiotu; miałem w rodzinie samych prawie chemików i nigdy nie mogli oni się nadziwić — jak można z tych nonsensów czegoś na serio się nauczyć. Zło w gruncie rzeczy szło z góry: Krawczykowi uczyła chemii, na szczęście — nie w mojej klasie F. Dyrektorka zaś — powszechna była opinia wśród moich kolegów — myślała jedynie o partyjnej karierze. Dochrapała się członkostwa w egzekutywie wojewódzkiej i tylko brak jaśniejszych sukcesów z tresowaniem uczniów naszego LO (i w całej Ochocie) nie pozwalał jej „wskoczyć” do KC albo do Głównej Komisji Rewizyjnej PZPR. W naszej klasie mieliśmy też to nieszczęście, że wychowawca klasy F — osławiony „Brzuch” (przezwisko dobitnie go opisujące), Zdzisław Marek — był szefem partyjnej komórki w szkole (tzw. POP). Jego zabiegi wychowawcze sprowadzały się do okresowych przestróg rodem z 1968 r., że nie takich to, jak my, kozaków i to z o niebo lepszymi koneksjami, to on już widział w poważnych tarapatach, gdy „podskoczyli” swym opiekunom, ufni w opiekę rodziców—dygnitarzy. Typowa jego zagrywka „edukacyjna”, to przemowa do Tomka Bartoszyńskiego (w reakcji na drobne jakieś wydarzenie szkolne): „*ty Bartoszewicz (sic!) to chyba nie jesteś zupełnie normalny! Trzeba ci porady psychologa. Czym zajmują się twoi rodzice?*”, co wywołało lawinę śmiechu, gdy zapytany spokojnie odpowiedział: „*Mama jest psychologiem*”. Inne zabiegi „Brzucha” — urzędującego zwykle za stołem zastawionym różnymi papierami z wychowawstwa, a może broszurami partyjnymi — to rzucane nieprzytomnie, gdy odpytywany uczeń nieoczekiwanie nagle zamilkł: „*Pokaż to na wykresiku!*”, niezależnie od tego, czy wypowiedź dotyczyła stosunków gospodarczych w XIX w. Galicji, wojen napoleońskich, czy któregoś z powstań.

Specjalne miejsce należałoby poświęcić wicedyrektor Wiesławie Kozaczuk. Też była umocowana partyjnie, lecz chyba naprawdę poruszała ją pasja pedagogiczna. Przyszła do nas po II klasie, z zamiarem wykazania — po wygodzie, jaką mieliśmy z mało agresywną poprzedniczką Elżbietą Kotowską — że nie tacy z nas znowu geniusze. Zwłaszcza, że było to wtedy, gdy klasę nieoczekiwanie dla nas rozparcelowano, dzieląc wedle dość dowolnych kryteriów (z nagłą i tajnie) na tych zdolniejszych, przechodzących do innych klas i nadal w „eksperymentalnym” toku nauki oraz pozostałych, w tym samym oddziale F. Pierwsze zajęcia w nowej III F przyniosły powtórkę z metod Rumcajsa, ale jeszcze dobitniej. Zaczęło się z masowo stawianych „luf” z polaka, a potem to były „plomby” na okres — chyba dla ponad 15 osób na 27 w sumie. To wtedy do łagodnego Batorego „bryknęli” Smolarski i Romek Jaroszewski. Romkowi to chyba przydała się nawet taka ostra lekcja, bo potem na najtrudniejszym wydziale w Polsce — Mechanika—Energetyka—Lotnictwo na Polibudzie — lekko wybrnął z przejściowych tarapatów, bijąc nieśmiertelny wydawało się rekord dziekana Marciniaka — światowego specja od mechaniki teoretycznej, który podchodził do mechaniki przez 15 lat, do skutku ją zdając; Romek studiował dużo krócej, ale zdawał przedmiot do samego dyplomu i więcej (jak nieoficjalnie tylko słyszałem!) niż 4 razy. Mój rekord na MEL, to było 14 warunków (łącznie z wf) na I roku studiów, natomiast Tytusowi udało się pozostać nominalnym studentem tego wydziału lat kilka, ani razu (od pewnego momentu) się tam nie pokazując. Zaś o prawdziwym pechu mógł na MEL mówić Breitkopf, który za szybko tam studiował (nawet doktorat, w Instytucie Podst. Problemów Techniki, wkrótce potem zrobił błyskawicznie), przez co jego służba wojskowa (której my uniknęliśmy) wypadła na ... 13 grudnia 1981 r. Oczywiście przemówienie Jaruzela złapało go na lewiznie. Potem Piotrek doczekał się najfajniejszej opinii służbowej, jaką w życiu czytałem. Jak to mianowicie szeregowy podchorąży nie nadaje się do zaszczytnej służby w szeregach Ludowego Wojska Polskiego ani do żadnego pożytecznego zajęcia w socjalistycznej Ojczyźnie. Wielu i dziś

dałoby wiele za taką rekomendację. Oczywiście Breitkopfa trzymali „w kamaszach” do końca służby, chyba pełne 15 miesięcy, czy ile się takiemu wrogowi rodzimego lotnictwa należało.

Wracając do dyr. Kozaczuk, to myślę, że byłaby zaskoczona obecnie rozwojem mej kariery zawodowej. Byłem bowiem w tamtych czasach jednym ze „spuszczonych” i część wakacji spędziłem pisząc (w ramach nieoficjalnej poprawki oceny z polaka) na przesyłaniu dyrektorce na adres domowy wielkiej liczby zadanych mi wcześniej wypracowań; w tamtych czasach wsławiłem się też najdłuższym w szkole wypracowaniem, na ca 50 stron, zatytułowanym: „*O Adamie, który się zwieszczył*”, nigdy szczęśliwie nieodczytanym. Skąd zaskoczenie mą karierą? Mimo czarnych proroctwa Kozaczukowej, w kwestii mych kwalifikacji krytyczno—literackich i ogólno—językowych, ostatnie kilkanaście lat spędziłem w kolejnych redakcjach (prasa codzienna), utrzymując się jednak skutecznie z pracy piórem. Z drugiej stron, może jej oceny nie były tak do końca bezzasadne, gdy każde, kolejne czasopismo, w którym pracowałem, wcześniej, czy później „padało”, w tym trzy gazet: wspomniany wcześniej *Nowy Świat*, potem *Słowo — Dziennik Katolicki* oraz *Prawo i Gospodarka*.

Szkoda może, że nie skorzystałem więcej z szansy, którą — pomimo wszystko — w latach 1972—1976 dał mi Gottwald? Trudno było wtedy pewne rzeczy prorokować, co do przyszłości naszej, czy innych. Przypominam sobie na przykład różne szkolne żarty, jak to po jakimś przegranym zakładzie „Byk” (Darek) Jastrzębski podpalał na lekcji gazetę młodemu geografowi (Łochowski), albo wchodził (niemal) nagi na lekcje rosyjskiego (Preissowa?). A dziś to poważny właściciel kilku nieruchomości, żonaty i dzieciaty (córka). Albo jak Romek Jaroszewski z bukietem kwiatów, na korytarzu przed pokojem nauczycielskim ubiegał się o rękę „Ryby” (RJ w lektoracie miał angielski). Dziś podobno nieźle sobie radzi (wraz z żoną lekarką) gdzieś w Niemczech. Widzę też jak Piotrek Breitkopf biegnie jak oszalały przez szkolny korytarz z wbłą w małżowinę ucha strzałką (do rzucania do tarczy), kapiący obficie

krwią, a goni go autor pechowego rzutu „Ciesioł”, Krzys Ciesielski. KC to dziś w USA szacowny profesor matematyki gdzieś w Appalachach (żona, dwie zdaje się córki), a PB to poważany akademik we francuskim odpowiedniku PAN (żona lekarka z „tych” Roweckich+córka). Ten rozbrykany niegdyś Krzysztof spoważniał do tego stopnia, że gdy na pierwszym po latach spotkaniu w kraju kolegów z klasy, wszyscy (z Jego wyjątkiem) się o kilka godzin spóźnili, a na kolejnym nie mógł się umówionych doczekać (choć ja byłem, ale też go nie spotkałem), to przeklął nas „do 10 pokolenia”. Nie chce mieć nic wspólnego, stwierdzając, że zacznie bywać w kraju i się spotykać, jak ludzie w Polsce spoważnieją i się zorganizują. Może ma rację, bo bałagan w kraju mamy ogromny, ale to rozmowa na zupełnie inny temat.

/Grzegorz Szulc/

